Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Parasolka i parasol.

Parasolka, łaskawa czytelniczko, odegrywa w twej toalecie bardzą ważną rolę; posiadasz zapewne spory zapas parasolek zastosowanych do barwy twych wiosennych i letnich kostjumów, jednakowoż mógłbym się założyć, żeś nigdy nie myślała o tem, zkąd i kiedy powstał ten artykuł kobiecej mody. Zdziwisz się zatem na wiadomość, że parasolka ma za sobą przeszłość dziejową niemniej, niewięcej jak trzech tysięcy lat. Znany podróżnik i archeolog Layard odkrył w Niniwie płaskorzeźbę przedstawiającą króla Tiglathpilesara siedzącego na wozie; stojąca za nim postać kobieca osłania monarszą głowę parasolem.

W Indjach i w Syamie parasol był oznaką rangi posiadacza, lub posiadaczki. Składał się z kilku, lub z kilkunastu dachów, zwężających się ku górze. Ilość dachów była miarą dostojeństwa. Barbarzyńska Turcja do niedawna zabraniała kobietom używania parasolki rezerwując ją tylko dla osoby padyszacha i wielkiego wezyra. Z cywilizacją zachodnią przyjął się i w Turcji zwyczaj używania parasolek przez kobiety. Jednakowoż i dziś jeszcze każda z pań przechodzących koło cesarskiego pałacu w Stambule musi zamknąć swój słońcochron.

Do Europy pierwsze parasole dostały się w r. 1680; we Francji weszły w modę dopiero w r. 1728. Początkowo nie można było ich zamykać i dopiero o wiele później jakiś jeniusz odkrył dzisiejszy mechanizm, za pomocą którego parasol daje się dowolnie zwijać i rozwijać. Pokrywano parasole pierwotnie woskowem płótnem. We Francji magnatki w ośmnastym jeszcze wieku nie nosiły same parasolki; było to obowiązkiem pazia niosącego równocześnie ogon od sukni swej pani.

Najdłużej opierali się wprowadzeniu parasoli Anglicy. W połowie ośmnastego wieku znalazł się pomysłowy spekulant, który w Oxfordzie i w Cambridge pożyczał na godziny duże, z woskowanego płótna deszczochrony, studentom, by mogli podczas słoty przejść z jednego kollegium do drugiego. Wyśmiano wszakże studentów i reszta ludności nie poszła za ich przykładem. W Londynie powstało ogromne zbiegowisko, gdy w r. 1756 pewien gentleman nazwiskiem John Honway, zapalony podróżnik, przywiózł sobie z Chin parasol i z takowym przechadzał się po ulicach. Ale John Honway należał do tej upartej rasy, która raz powziąwszy pewne postanowienie, nie myśli od niej odstąpić. Przez trzy lata służył za przedmiot pośmiewiska gawiedzi aż wreszcie znalazł sobie towarzysza w osobie pewnego szkota Mac Donalda, który przywiózł sobie z Hiszpanii piękny, jedwabny parasol. Mac Donald miał więcej szczęścia z swym parasolem, który podobał się płci pięknej. Tem samem zwycięztwo parasola zostało stanowczo zapewnione — parasol stał się artykułem modnym.

Z Francji użytek parasola przyjął się w całej Europie. Dziś produkcja fabryczna parasolek i parasoli zalicza się do najrentowniejszych gałęzi przemysłu i zatrudnia tysiące robotników, którzy z prawdziwym artyzmem zdołali z przedmiotu modnego, pożytecznego, stworzyć prawdziwe arcydzieła sztuki i zbytku. Na taką nazwę zasługują niewątpliwie parasolki wyrabiane w Nizzy z żywych kwiatów. Na tle z jasnego jedwabiu układa się kwiaty, spojone ze sobą drucikiem, w ten sposób, iż korony ich tworzą jednostajną, barwną powłokę. Ponieważ parasolka tego rodzaju może służyć co najwyżej do kilkodniowego użytku, przeto jest to moda, wprawdzie bardzo estetyczna, ale tak kosztowna, że pozwolić sobie mogą na taki wydatek chyba milionerki.

Zupełnie nową odmianą parasolek są wchodzące obecnie w modę parasolki do ochrony twarzy przed światłem księżycowem. Mianowicie pewna liczba wytwornych pań zrobiła to spostrzeżenie, że nie tylko promienie słoneczne, lecz także księżycowe psuje cerę twarzy. Ma jej nadawać bladość, nie ową interesującą, lecz zbliżoną do trupiej. Rzecz naturalna, że nie brakło przedsiębiorców, którzy, solidaryzując się z dziwacznem tem spostrzeżeniem, sporządzili tego rodzaju parasolki. Posiadają one kształt wielce fantastyczny, gdyż właściwie służą tylko do osłony twarzy, podczas gdy druga połowa parasolika jest wyciętą w formie pół księżyca. Barwa ich jest purpurową, błękitną, fioletową; laski ozdabiają bogatą inkrustacją.

Najnowsza moda wiosenna wprowadziła wielce zbytkowne parasolki. Zbytek ten przejawia się zwłaszcza w misternem wykończeniu laski, będącej istnem arcydziełem sztuki snycerskiej i złotniczej. Przyczem zauważyć należy tendencję, by dach parasolki był o ile możności najmniejszym, zaś laska jej jak najdłuższą. Obecnie więc parasolka przybiera coraz to bardziej pozór kijka, przy którym przytwierdzono barwną chorągiewkę. W obec tego nie ulega kwestji, że parasolka tej formy nie może nikogo osłonić przed promieniami słońca. Jest to moda wcale niedorzeczna i dla tego liczyć może na jak największe rozpowszechnienie ..

„Toute une Jeunesse“.

Oto tytuł najnowszej pracy Franciszka Coppégo (Paris, Lemerre, 1890.), w której znany dziś poeta pod bardzo przejrzystą przenośnią opisał dzieje swej młodości. Poeta występuje w tej opowieści jako Amadeusz Violette i z ironią, której istnienia nie przypuszczano nigdy w jego melancholijnem usposobieniu, charakteryzuje wszyst-

kie wybitniejsze osobistości owej *Bohème* gromadzącej się w ostatnich latach przed upadkiem drugiego cesarstwa w „Café de Madrid“ (w powieści: Café de Seville). Tu też debiutuje z wielkiem powodzeniem młody poeta, odczytując swym towarzyszom po obiedzie, na kredyt spożytym, pierwszy swój utwor, malujący niedolę klasy robotniczej. („Bezrobocie kowali“). Z uniesieniem wspomina o tym pierwszym tryumfie, gdy po północy, przy blasku księżyca powracał do swej izdebki na przedmieściu świętego Jakóba.

Wszyscy towarzysze ściskali mu dłoń serdecznie, szczerze życzyli powodzenia. Niestety jak wielu z nich później zatruło mu niejedną chwilę życia poziomą zawiścią, niegodną zdradą. Ale wtedy jeszcze oklaskiwali poetę z całym zapałem młodości, z niekłamanym uczuciem entuzjazmu... Poeta dostąpił sławy, zaszczytów; otwarły się przed nim podwoje akademii — a jednak nie zaznał szczęścia. Pewnego jesiennego wieczora samotny czyni rachunek z całego życia. — Gdzież są twe nadzieje i dawne illuzje Amadeuszu Violette? - pyta poeta. — Dziś już wiesz, że szczęście, lub to co niem nazywają, istnieje tylko połowicznie, trwa zaledwo minutę, by tem bardziej powszednim, gorzkim wydał ci się dzień następny! Od sztuki jedynie żądasz pociechy. Znużony jednostajną nudą życia, pragniesz jeszcze natchnienia poezji, snów przeszłości. Młodość twa minęła, biedny nauczycielu. Liście opadły!...

Wracając do wspomnień, jakie poeta poświęca swym towarzyszom młodości, niepodobna nie zauważyć, że takowe grzeszą w wielu ustępach zbytkiem złośliwości. W pierwszym rzędzie zarzut ten odnieść należy do wycieczek przeciw Coquelinowi (w powieści: Jocqueletowi), którego poeta przedstawia w świetle zbyt ujemnem. Bardziej objektywnym jest Coppée w kreśleniu wspomnień z czasów oblężenia Paryża (w roku 1870), w których bardzo drastycznie charakteryzuje kawiarnianych polityków, niemających pojęcia o taktyce i strategii, a jednak czujących powołanie na wodzów.

Równie nielitośnie drwi sobie poeta z tych mężów stanu, którzy w przeddzień upadku cesarstwa zaprawiali się do rządów trzeciej rzeczypospolitej — w kawiarni madryckiej. Przypomina deputowanemu, głosującemu obecnie za bezwzględnem obostrzeniem ustawy wojskowej, jak ongi przy partji domina piorunował przeciw stałej armii. I ty panie ministrze — pisze Coppée — który dziś nie gniewasz się wcale, gdy cię woźny tytułuje ekscelencją, byłeś ongi stałym gościem w kawiarni, tak stałym, iż ciebie kasjerka wołała po imieniu. Przypomnij sobie tylko przyszły prezydencie senatu, jak owa otyła dama butetowe, która nigdy nie ruszała się z swego miejsca, przywoływała ciebie skinieniem ręki, by szepnąć ci w ucho: Panie Eugeniuszu. Zechciej pan wyrównać swój rachunek...

Jako szkic historyczno-obyczajowy książka Coppégo, mimo ironii, jaka ją przepełnia, jest wyborną charakterystyką odnośnej epoki.

Z dziejów zdobyczy XIX. stulecia.

przez
Walentego Ćwika.

(Dokończenie).

Korzystając z odpowiedniej pory roku, wyruszyła flotyla 3. sierpnia na morze i rozpoczęła w dwa dni później swą pracę. Zanim przejdziemy do dalszej opowieści losów przedsięwzięcia, musimy poświęcić kilka słów mechanicznemu postępowaniu przy kładzeniu kablu. Przewód tak kolosalnej długości i tak olbrzymiej wagi nie może być, jak łatwo zrozumieć, spuszczanym pojedynczo z magazynu przez pokład okrętu, lecz wymaga przyrządów tak do rozwijania jak i do częstego badania stanu przewodu i tegoż izolacyi. — Od dokładności, od dobroci przyrządów zawisł też i wynik pracy, a szybkość okrętu, szybkość rozwijania się przewodu, głębokość dna morskiego, długość liny, wszystko to stoi w ścisłym z sobą związku. — Rozwijanie kablu nie może się szybciej odbywać, aniżeli posuwanie się okrętu, w przeciwnym bowiem razie traci kabel normalne naprężenie, spływa w falistych łukach i tworzy na dnie nieregularną linię. Pominąwszy stratę materyału, zwiększa się wskutek tego waga wiszącej między okrętem a dnem morskiem części i powoduje rozerwanie kablu. Rozwija się znów kabel za powoli, następuje anormalne naprężenie, w dalszej konsekwencyi przerwania się liny; to każda zmiana głębokości dna morskiego wymaga regulowania aparatów na okręcie podług wskazówek dynamometru.

Powróćmy teraz do właściwego przedmiotu.

W dwa dni po wyjeździe z Queenstown, rozpoczęła flotyla swą pracę. Statek „Niagara“ miał zadanie układać przewód nadbrzeżny, zaledwie jednak jedną przepłynął ang. milę, zsunęła się lina z walców, zawikłała się w osie i urwała. Rozpoczęto na nowo robotę, lecz znów przerwał się kabel na pokładzie. Po naprawieniu go, postępowała wprawdzie praca bez wypadku, atoli tylo do 10. sierpnia, w którym to ostatnim dniu pękł po raz trzeci przewód, naprężony tak silnie, iż hamulec pracował z naciskiem 35 cetnarów. Stało się to w oddaleniu 411 klm. od stałego lądu, przy głębokości morza 2050 węzłów. Przerwawszy dalszą czynność spostrzeżono, iż sporządzone zapasy przewodu nie wystarczyłyby w ogóle do wypełnienia całej drogi, skoro przebyta odległość 411 kilometrów zabsorbowała 501 kilometrów kablu.

Tak rozprószyły się piękne nadzieje przedsięwzięcia; nie znikły, nie zmalały atoli chęci, nie osłabła wola niestrudzonych mężów. Dzięki tym mężom wyruszyła następnego już roku (1858) druga expedycja na wody Atlantyku. Z końcem czerwca rozpoczęto roboty, dwa razy naprawiano urwany przewód, po trzeciej przerwie powrócił „Agamemon“ 12. lipca do Queenstown.

W pięć dni później wypływała trzecia wyprawa na morze i po licznych przykrych przejściach uwieńczyła 5. sierpnia swój zamysł pomyślnym rezultatem. Strzały armatnie zagrzmiały w cześć monumentalnej pracy, a w kilka godzin później nadeszła pierwsza zamorska depesza. Rozentuzjazmowana ludność tej i tamtej strony oceanu otoczyła Fielda aureolą bohaterstwa, z wrodzonym Anglo-Amerykanom zapałem oddawała mu cześć, jako wielkiemu apostołowi cywilizacji XIX stulecia. Ubóstwiany nie przeczuwał wcale, iż rychło zniknie zachwyt, iż miejsce jego bolesne zajmą wyrzuty. W miesiąc później przestał przewód spełniać swą służbę, coraz to bardziej

nieczytelnych dostarczał znaków, w końcu okazał się 20. października zupełnie nieużytecznym. — Rodacy Fielda pierwszymi byli, którzy spotwarzali genialnego pioniera, którzy twierdzili, iż z zamiarem źle przeprowadził, by utorować sobie drogę do nowych intrat, którzy powątpiewali nawet w autentyczność owych 400 przesłanych depesz. Naturalnie cała ta czcza gadanina lekkomyślnem tylko była oszczerstwem, a osiągnięte wyniki dostarczyły niezbitego dowodu, iż projekt podmorskiego związku między Europą a Ameryką jest wykonalnym.

Dowód ten był bodźcem do dalszej pracy, podjętej bez względu na niecne oszczerstwa i zaczepki.

Trudniejszem było pozyskanie niezbędnych zasobów materyalnych, parlament bowiem angielski odmówił żądanej gwaracji 6,000.000 złr. przyznał tylko 8% podanej kwoty, tytułem rocznej subwencyi na przeciąg lat 25, jeśli w ciągu tego czasu zostanie kabel należycie położonym i pozostawił nadromadzenie właściwego kapitału zakładowego prywatnym zabiegom i sprytowi przedsiębiorców. Gdyż z drugiej strony opinia publiczna nie bardzo była przychylną sprawie, wlokła się subskrypcja żółwim krokiem, tak iż dopiero w r. 1865 zdołano zebrać 2,850.000 złr. i rozpocząć przygotowawcze czynności. Dotychczasowe niepowodzenia, surowa krytyka i nieufność społeczeństwa nie pozostały bez wpływu na nowe prace, przy których rozwinięto szczególną ogledność w konstrukcyi przewodu, poczyniono rozmaite zmiany i poddano go p zed użyciem śc słemu i dokładnem badaniu.

Do wyrobu całej 2300 morskich mil długiej liny, użyto 25.000 mil miedzianego drutu, 35.000 mil żelaznego drutu i drobnostkę, bo 400.000 mil konopianych sznurów. Pomieszczenie takiej masy przewodu nie lada, naturalnie, obszernego wymagało okrętu i kto wie, czy byłby się takowy wogóle znalazł, gdyby na kilka lat przedtem nie ukończono budowy statku Brunelsa „GreatEastern“. Zaopatrzywszy się w najlepsze przyrządy w zastosowane do potrzeb nowe środki pomocnicze, jednem słowem we wszystko, co tylko umiejętność fizyki, technika, marynarka dostarczyć wówczas były zdolne, wyruszyła expedycya, złożona z okrętów „Great Easteru“ „Karolina“ „Sphinx“ i „Terrible“ 24 czerwca 1865 na morze. „Great Eastern“ wiózł wcale pokaźny ładunek 480.000 cetnarów. U wstępu robót wymknął się kabel nadbrzeżny, nieprzymocowany należycie do przewodu lądowego i musiał być szukanym, poczem znów spostrzeżono, iż rozwinięta część podwodnego przewodu nie funkcjonuje; zwinięto ją więc napowrót i dopiero po odszukaniu i naprawieniu uszkodzonego miejsca, ruszono w dalszą drogę. Po przepłynięciu kilkuset kilometrów musiano znów z powodu uszkodzenia kablu przerwać chwilowo roboty, które następnie postępowały tak szybko, iż z końcem lipca spuszczono 903 morskich mil przewodu. W dwa dni później jednak jak grom z pogodnego nieba, niespodziana katastrofa zniszczyła dalszy rozwój dzieła. Spostrzegłszy mianowicie kawał spływającego z przewodem drutu, zamknięto hamulec i wstrzymano okręt. Statek niedający się w chwili spoczynku należycie kierować, pomknął nagle w bok, a przewód zeskoczywszy z walca uszkodził mechanizm, pękł i zniknął w nurtach oceanu. Przerażenie ogarnęło wszystkich widzów nieszczęścia, niektórym z świadków łzy zakręciły się w oczach, gdy połyskujące od promieni słonecznych wód zwierciadło, pogrzebało w swej głębi tyle pięknych nadziei. Przystąpiono do wyłowienia przewodu za pomocą długiego żórawia. Rzecz udała się o tyle, że uchwycono linę w głębokości 15.000 stóp i podniesiono w górę, zaledwie atoli kawałek jej wydobyto na pokład, pękła ponownie i opadła na dno morskie. W kilka dni później złowiono wprawdzie powtórnie przewód, przy podnoszeniu jednak, urwał się znów żóraw, a gdy taki sam wypadek przy trzecim miał miejsce wysiłku, pozostało mistrzom przedsięwzięcia, jako jedyna dodatnia strona, doświadczenie, z którego postanowili korzystać przy ponownem rozpoczęciu pracy. Niezrażone przeciwnościami, nieugięte w swych zamiarach grono przystąpiło do zawiązania nowego konsorcyum i do zamówienia kablu długości 2724 mil morskich. Z końcem czerwca 1866 załatwiono wszelkie przygotowawcze czynności, zmierzające nietylko do założenia przewodu, lecz także i do wyłowienia dawniejszego kablu, w którym to ostatnim celu zaopatrzono się w odpowiednie liny i powrozy. „Great Eastern“ mieścił na swym pokładzie 2377 morskich mil przewodu, „Medwey“ dalszych 400 mil rezerwowych zapasów. Okrętom tym towarzyszyły parowce „Terrible“, „William Cory“ i „Albany“.—

Pokonawszy trudności, z jakiemi musiał walczyć olbrzymi „Great Eastern“ na płytkich stosunkowo wodach Tamizy, wypłynięto na pełne morze i złączono 13. lipca przewód nadbrzeżny z podwodnym. Sprzyjało tym razem szczęście w całej pełni przedsięwzięciu, tak iż już 27. lipca mogli dumni z swej misji uczęstnicy wyprawy przesłać pierwszą zamorską depeszę do Irlandyi z radośną nowiną o doprowadzenie do skutku wielkiego dzieła złączenia dwóch półkul globu. Teraz oddano pierwszeństwo wymianie urzędowych depesz, a królowa Anglii pospieszyła powitać za pośrednictwem drutu i złożyć życzenia prezydentowi Zjednoczonych Stanów. W dniu 4. sierpnia 1866 otworzono transatlantycką linię do ogólnego użytku społeczeństwa, które ze słusznym podziwem spoglądało na ten nowy tryumf naszego stulecia.

I druga część przedsięwzięcia nie pozostała bez rezultatu, gdyż po całomiesięcznych wysiłkach i trudach wyłowiono zatopiony w r. 1865 przewód i zbudowano niebawem równoległą podwodną linię telegrafu. Odtąd szybkim krokiem poczęła rozwijać się sieć podmorskich przewodów tak, iż obecnie, po upływie ćwierci niespełna wieku, 113.031 morskich mil kablu spoczywa w głębiach oceanu, roznosi myśli, idee, zasady, zdobycze wiedzy, za pomocą skromnej iskry elektrycznej, w lot po obszarach kuli ziemskiej. Z podanej długości przewodów należy 102 531 mil do prywatnych przedsiębiorstw, 10.500 mil zaś jest własnością państw, z których posiada Francja 3191, ang. Indje 1873, Włochy 960, W. Brytania 877, franc. Kochiuchina 810, Niemcy 468, Grecya 457, Turcya 331, Rosja 272, Norwegia 229, Kanada 200, Nowa Zelandja 197, Hiszpania 128, Dania 124, reszta krajów 383 mil kablu.

Potężną, godną zaiste hołdu, jest wytrwałość ludzka, ścieląca u stóp swych zapory przyrody.

W „budzie.”

(Obrazek miejski).

Godzina dziesiąta. Gazowe latarnie, oświetlające front „budy“ przed chwilą pogaszono i spuszczono żelazne żaluzje, sklep zamykające. Na ulicach przemykają się jeszcze przechodnie, z pracy szybko spieszący do domowego ogniska, lub włokący się na nocną birbantkę.

Wewnątrz sklepu jeszcze gwarno. Sklepowi parobcy: ten, co kręci korbą od maszyny do krajania cukru i ten, co kiprowi pomaga, płucząc i korkując butelki, i ten „na posyłek“ — wychodzą właśnie, mocno stukając podkutemi butami. Pryncypał sprawdziwszy obrót dzienny czyli „zamknąwszy kasę,“ żegna się z buchalterem, p. Henrykiem Szwarcem i poświstując, idzie zagrać swoich kilka robrów winta w resursie.

„Buda“ głuchnie. Dwaj subiekci, obiecujący młodzieńcy, z blademi, jakby spłowiałemi oczyma, z cerą żółto-ziemistą, nieco naprzód wygiętemi kolanami, w pakamerze herbatnim, przed nadtłuczonem lusterkiem, pomadują i czernią ledwo puszące się wąsiki, poprawiając nadto jaskrawe krawaty, w nader ważnych używane okolicznościach; garderoby zmieniać nie potrzebują, każdy bowiem szanujący się kupiec nosi w sklepie prawie najlepsze swoje ubranie.

— *Kafort*, panie przedewszystkiem — mawia p. Józef z za „korzennego stołu.“

I p. Józef i. p. Celestyn wybierają się właśnie do przybytku, gdzie króluje *Bier Weib und Gesang* czyli jak się mówi zazwyczaj. obaj idą „na szansonetki“...

— *Ich trinke nicht mehr, nein, nein.* — nuci jeden.

— „*En revenant de la revue*“ — podśpiewuje drugi.

I wychodzą tylnemi drzwiami.

A za wysokiem biurem, na okrągłym drewnianym, niewyścielanym zydlu, pochylony nad ogromną rachunkową księgą, siedzi stary buchhalter p. Henryk Szwarc i pracowicie to dodaje, to odejmuje długie szeregi cyfr...

W niebieskawem świetle gazowego płomyka widać jego twarz wyschłą, żółtą, kościstą, wysokie pomarszczone czoło, czaszkę dookoła tylko porośniętą szpakowatym włosem, zmęczone oczy, zaczerwienione powieki i od tygodnia niegoloną brodę. W sklepie cisza i półcień. W półcieniu tym prawie ginie wielki długi kontuar, złamany w trzy linie, a dzielący sklep na trzy oddziały: herbatni, cukrowy i korzenny. Giną i tablice tekturowe, z napisami, „wina węgierskie, hiszpańskie i krymskie“, „oliwa nicejska prawdziwa“ „kapary“, „makaron włoski“. Giną nawet i te oryginalne scenki z życia chińskiego, stanowiące tapety sklepu...

P. Szwarc wciąż rachuje i rachuje. Czasem mu tylko szybciej zadygocą wargi obwisłe i szybciej zadrgają zakrwawione powieki. Zresztą jest spokojny. I nie ma racyi być innym. Nic go nadzwyczajnego dzisiaj nie spotkało, bo od lat trzydziestu już pracuje tak codzień, aż za północ. Przyzwyczaił się do tego życia i ma ono nawet dla niego pewien urok. Lubi pracę, lubi samotność i ciszę, bo lubi nieraz po pracy podumać.

Ot i dzisiaj, kiedy północ wybiła, złożył księgi, wytarł starannie pióro, zapalił cygaro i oparł się o ścianę. Co dzień myślał o tem samem. A więc przedewszystkiem o tem, że jest sam, sam jeden na świecie i że mu coraz bliżej do grobu... Potem przypominał sobie swoje dzieciństwo, ojca bakałarza, na pół niemca na pół polaka, który go co tydzień ćwiczył rózgą, żeby się *smarkatz nie psula*,“ swoją matkę, tę poczciwą zacną matkę, co go pierwsza zawsze ratowała, co codziennie wybierała dla niego szperki z kartofli, lub kaszy i szyła mu takie wspaniałe różnobarwne kostiumy.

Następnie stawały mu przed oczyma czasy szkolne, później śmierć ojca, śmierć matki, pierwsze dni w „interesie“ i w końcu ta potulna, cicha skromna dziewczyna, jedyna, która go kochała i jedyna, z którą żył, tak na wiarę, krótko... bardzo krótko, bo tylko rok jeden... Co on wtenczas miał szczęścia!... ileż ta dziewczyna zjadała daktyli marokańskich i rodzynków tureckich, które ukradkiem, jak ostatni złodziej, wynosił ze sklepu... Umarła po roku — i wszystko minęło.

Pana Henryka wspomnienie tej dziewczyny dzisiaj szczególniej wzruszyło. Zdziwił się prawie sam, ale uczuł łzę pod powieką... Może ze zmęczenia? począł wypuszczać coraz szersze kłęby dymu i wsłuchiwał się w tykotanie zegara. Wybiła już pierwsza. Zwykła godzina spoczynku, prawie od lat trzydziestu!...

Wstał, zapalił stoczek, gaz przykręcił i powlókł się do swego małego, ciasnego pokoiku. Tam, codziennym zwyczajem, ukląkł i zmówił pacierz; potem zwolna się rozebrał i wśliznął pod kołdrę. Miał właśnie zgasić stoczek, ale jeszcze się podniósł, wziął chustkę, zrobił na niej dwa węzły i schował pod poduszkę. Prawda!... Przecież jutro o godzinie 7 rano zobowiązał się wysłać 40 funtów cukru sklepiczarce Jankowskiej, a 20 funtów bakalji hrabinie z Mazowieckiej, Codzień to samo!...

A tymczasem do przyległego pokoiku wrócili p. Celestyn i p. Józef; kilka razy zapalali zapałkę, następnie, poczęli z dziwną zawziętością i szybkością zrzucać z siebie ubrania.

— Jak ty się możesz, idioto jeden, w takiej małpie kochać? — szepnął p. Celestyn.

— Głupiś! brzmiała odpowiedź.

Po chwili jeden z młodzieńców począł po cichutku nucić:

— „*En revenant de la revue*‘....

A drugi hałaśliwie zdmuchnął świecę.

Za pięć minut spali obaj, spał już i pan Henryk Szwarc...

Ursyn.